

Oświadczenie świadka zżęcania się nad zwierzętami

imię i nazwisko: A[...] W[...]

W latach 2002-2009 byłam - można powiedzieć - "wolontariuszką" w "Hotelu dla zwierząt". Codziennie, nie wykluczając sobót, niedziel i dni świątecznych. Od początku zajmowałam się kotami. Koty przebywały w baraku, który składał się z 8 boksików o wymiarach 1,5 x 2 m. z jedną leżanką przymocowaną do ściany boksu. Każdy "boksik" był wyposażony w okienko, którego nie można było otworzyć.

Z biegiem lat w kociarni znajdowało się od 20 do 40 kotów. Po długotrwałych rozmowach z p. Siemińską, namawianiach i prośbach, pozwoliła mi bym połączyła boksy (po dwa). Ale to nie zmieniło dobrostanu kotów tam przebywających. Koty nie miały możliwości wyjścia na zewnątrz do tzw. woliery ani swobodnego poruszania się w boksie (klatce).

Latem, kiedy temperatury przekraczały 30 st. wyjednałam u właścicielki możliwość zdjęcia szyb, żeby kotki miały chociaż czym oddychać. Zimą, wraz z moją siostrą i A. [...] zakupowałyśmy styropian, z którego dodatkowo budowałyśmy domki do boksów, bo przy temperaturach minus 20 st. woda zamarzała w ciągu sekundy.

Z biegiem miesięcy dach tego budynku (szopy) ulegał systematycznemu zawalaniu się. Podczas opadów dach przemakał. Codziennie podstawiałyśmy wiadra na wodę, aby woda mogła ściekać do tych naczyń. Prośby o wylewanie wody przez pracowników były ignorowane. Po przyjeździe do hotelu wielokrotnie brodziłam w wodzie, nie mówiąc o schylaniu się, ze względu na wysokość szopy 1,30 m. Przy moim wzroście 1,70 m. zmuszona byłam chodzić tam i sprzątać na kolanach.

Każda insp. weterynaryjna nie miała świadomości, że w tym baraku znajdują się koty. Pani Siemińska tuszowała to, tak potrafiła omotać insp., że wychodzili z kontroli ze świadomością, że wszystko jest OK. Kontrole opierały się na infor. ustnych, przekazywanych przez właścicieli. Podczas mojego pobytu tam, nie widziałam, aby jakakolwiek insp. wet. pofatygowała się na boksy (pili kawkę i opowiadali o pierdołach). Dla państwa Siemińskich koty były złem ostatecznym, darmozjadami. Codzienni było to podkreślane przez nich i co by tu zrobić, aby nie ponosić żadnych kosztów utrzymania. Pani Siemińska stale uświadamiała nas podkreślając, że koty utrzymuje ze swojej renty - że nic na nie nie dostaje.

Mogę świadomie stwierdzić, że opieka nad kotami to była bitwa o każdy grosz na nie. Dopiero jak weszłyśmy w posiadanie faktur rozliczeniowych z przerażeniem zauważyłyśmy, że gminy płacą też na koty (taką samą stawkę jak za psa). Byłyśmy już tak załamane sytuacją tam panującą, że bez konsultacji z właścicielem zaadaptowałyśmy pomieszczenie po gołębiach na kociarnię (własny wkład pracy). Bardzo nie spodobało się to właścicielce. Wysłuchałyśmy dużo epitetów pod naszymi nazwiskami. Mogę stwierdzić, że dzięki mnie, mojej siostrze oraz koleżance A. [...] doprowadziłyśmy do powstania tej kociarni, która jest do tej pory. Dzięki nam koty mogą godnie żyć i funkcjonować.

Ja robiłam zakupy karmy (faktury przekazywałam właścicielce). Prośbie o pieniądze było dla nas ogromny stresem. Bo nigdy nie wiedziałyśmy, czy dostaniemy, a zależało to od humoru właścicielki. O leczeniu nie wspomnę - to ja w porozumieniu z zaprzyjaźnionym lekarzem opisywałam przypadek i objawy, a on radził co mam podać. Oczywiście na lekarstwa nie było pieniędzy, a więc ja za swoje prywatne kupowałam. Oprócz leków kupowałam również dodatkową karmę w postaci mleka dla niemowląt z przeznaczeniem dla kociąt. Na te rzeczy nie było mowy dostać od właścicieli pieniędzy.

Kotki nie były sterylizowane, kocury kastrowane. Nie było możliwości zawiezienia kota do lecznicy w celu zdiagnozowania - nie wspominając o prześwietleniu, USG, czy pobraniu krwi. Leczeniem zajmował się lekarz z Koluszek, wykonując tzw. usługę. Przez okres mojej pracy od 2002 do 2005, tj. trzy lata widziałam go może raz na dwa miesiące. Przyjeżdżał, żeby zaszczepić psy tylko przeciw wściekliznie. Niektóre psy były przez niego szczepione nawet po raz czwarty. Bałagan - nigdzie nie było to zapisywane, a sami pracownicy, widząc to, nie informowali właścicielki, tylko jeszcze się śmiali.

Lekarz ten nie wszedł nigdy do kociarni, chociaż zgłaszałam niejednokrotnie, żeby obejrzał koty - to była jakaś farsa. Koty nie były poddawane odrobaczaniu, szczepieniom ani odpchlaniu.

W 2007 r. do Hotelu dla zwierząt przyjechał kot, który pogryzł właścicielkę. Właścicielka zobowiązała się do utrzymywania kotów w zamian za pobyt w Hotelu. Kot ten nie podobał się pracownikom, nie mieli do niego cierpliwości. Gdyby nie ja, kot zmarł by śmiercią głodową, bo nikt nie podawał mu jedzenia (był to kot morderca). Po krótkim czasie podjęto decyzję o wywiezieniu kota do Wojtyszek. Jednak tam nie dotarł. Został w czasie jazdy wyrzucony z samochodu na pola. Taki sam los spotkał około 20 kotów, które też były wywiezione na Wojtyszki tylko jak mnie zapewniano do pięknej kociarni. Jak się okazało koty zostały wypuszczone na terenie przytuliska i rozbiegły się w cztery strony. Po pewnym czasie zaczęły się rozmnażać, chorować, przenosić różnego rodzaju wirusy, albo umierały na polach (to jest słynna profilaktyka p. L. Siemińskiego)

Niejednokrotnie byłam świadkiem bicia zwierząt. Pracownicy byli wyposażeni w tzw. kije bejsbolowe, pałki itp. rzeczy. Było to ciche przyzwolenie właścicieli. Siemińscy doskonale wiedzieli, że takie sytuacje mają miejsce. Psy były bite, bo trafiały do mnie i nietrudno było nie zauważyć pobicia. Wybroczyny szaro-sino-czarne na całym ciele. Pieski te starałam się w miarę możliwości ratować, ale obrażenia wewnętrzne były ogromne, po dwóch-trzech dniach odchodziły.

Psy pobite, wyciągnięte po nocy, trafiały do tzw. CIEMNI - był to barak przylegający do kociarni, w której znajdowały się klatki (typu transporterki). To były tzw. pseudo izolatki, tam wrzucało się pogryzione psy. Potrafiły tam leżeć do tygodnia w odchodach nikt nikogo nie informował, że tam jest pies. W 2007 r. po jednej z nocy znalazłam prawie szkielet psa. Udało mi się go uratować i żyje do tej pory.

(...)

Nikt z pracowników nigdy nie wiedział jakie i czy są tam psy. Nie przekazywali sobie informacji. A więc co tam odnajdowałyśmy to przykro mówić. Dużo psów straciło w ten sposób życie (zapomniane przez pracowników) właścicieli i lekarzy.

Szczególnym okrucieństwem odznaczali się:

- p. W. [...]

- p. L. [...]

- na Wojtyszkach p. pseudonim "Broda"

Pan L. parokrotnie dopuszczał się uśmiercenia zwierzęcia przez zakatowanie ze skutkiem śmiertelnym. Jednym z przypadków był wyrwany język wraz z więzadłami suce rasy AKITA (narzędzie hak do rozbijania lodu). Te wszystkie przypadki miały miejsce po nocy kiedy ten pan pilnował psy pod wpływem alkoholu.

Rotacja pracowników b. duża w przeciągu miesiąca co trzeci dzień zmieniali się pracownicy. W roku 2009 latem, po zażyciu narkotyków przez pracownika p. P. (już nie pracuje) poszedł na boksy i ot tak sobie zakatował psa na śmierć.

Osoby tam pracujące uśmiercały zwierzęta (...)

p. W. [...]

p. W. [...]

p. M. [...]

Morbital środek usypiający był ogólnie dostępny rozprowadzany przez p. dr K [...] lekarza w porozumieniu z panem insp. powiatowym p. C [...]. Środki te znajdował się w pokojach pracowników. W posiadaniu w roku 2008 mieli środki ludzkie tj. pavulon. Tych środków było b. dużo znajdowały się też w domach pani [...] i pana [...]

Wracając do boksów, które funkcjonowały przez prawie sześć lat:

Psy agresywne typu amstaf, pitbul, rotweiler przechowywane były w klatkach (tzn. klatki stojące jak czworaki w "Nocach i dniach") 8 szt. Psy te przebywały tam nawet przez sześć miesięcy. Były tylko raz na dwa tygodnie wyciągane z klatek podczas oczyszczania klatki. Jedzenie było rzucane do środka. Zimą klatki zabijane były płytą pilśniową. Nie zostawiali tym psom odrobiny otworu, nie dochodziło do nich światło. Ja uchylając klatkę uderzał nie fetor moczu i kału - brak dostępu światła dziennego. Klatki uniemożliwiały zachowanie naturalnej pozycji dla danej rasy psa. Klatka 1m x 1m.

(...)